

EMIL ZOLA

**Zgon Oliwiera
Becaille**

EMIL ZOLA

Zgon Oliwiera Becaille

TLUM. ZYGMUNT NIEDŹWIECKI

I

Umarłem w sobotę o godzinie szóstej z rana, po trzydniowej chorobie. Biedna moja żona szukała czegoś od dłuższej chwili w kufrze z bielizną. Gdy się podniosła i zobaczyła, że leżę z otwartymi oczyma, bez tchu, zeszywniała, podbiegła, myśląc, że to zemdlenie, i nachyliwszy się nad moją twarzą, dotknęła moich rąk. Naraz strach ją ogarnął i tracąc głowę, jęknęła z łez wybuchem:

— Boże mój, Boże!... Umarł!...

Słyszałem wszystko najwyraźniej, tyle tylko, że stłumione dźwięki zdawały się mnie do-
latywać jakby gdzieś z bardzo daleka. Jedynie
lewym okiem mogłem jeszcze podchwycić blask
niewyraźny, bladawe światło, w którym rozta-
piały się kształty przedmiotów, prawe me oko
było zupełnie bezwładne. Było to omdlenie ca-
łego organizmu, jakby od porażenia piorunem.
Wola ma zastygła, wszystkie fibry ciała wypo-
wiedziały posłuszeństwo. W unicestwieniu tem
prawie całej mojej istoty fizycznej jedna tylko
myśl żyła jeszcze, snując się wolno i leniwie,
choć z nieskazoną wyrazistością.

Moja biedna Małgorzata, padłszy na kola-
na przy łóżku, powtarzała raz po raz rozdziera-
jącym głosem:

— Nie żyje!... Boże mój!... Nie żyje!...

Byłże śmiercią w rzeczy samej ten stan dziw-
nego strętwienia, to pogrążenie ciała w bezru-
chu, gdy równocześnie inteligencya nie prze-
stawiała ani na chwilę funkcjonować!... A może
dusza moja opóźniała się tylko w głębi czasz-
ki, zanim i ona uleci. Podobne kryzysy ner-

wów nawiedzały mnie od dzieciństwa. Dwukrotnie, kiedy byłem jeszcze całkiem mały, napady ostrej gorączki omal nie pozbawiły mnie życia. To też otoczenie moje przyzwyczało się uważać mnie za dziecko słabowite i ja sam wyperswadowałem Małgorzacie sprowadzenie lekarza, kiedym się uczuł zmuszonym położyć do łóżka zaraz z rana po naszym przyjeździe do Paryża, do tego hotelu przy ulicy Dauphiné. Trochę odpoczynku wystarczy; to znużenie podróży dało mi się nieco we znaki. Byłem jednakże pełen obaw. Opuściliśmy bowiem całkiem niespodzianie prowincję, z bardzo szczupłymi środkami, mając zaledwie o czym doczekać mojej pierwszej pensyi za miesiąc w biurze, w którym otrzymałem miejsce. I oto nagle kryzys zabrała mnie ze świata.

Byłaż to śmierć naprawdę?... Wyobrażałem ją sobie w postaci nocy czarniejszej, głębszego, niżeli to, milczenia. Już od lat dziecięcych śmierć przejmowała mnie zawsze szczególnym strachem. Ponieważ byłem wątpły i ludzie mnie pieścili z jakimś odcieniem litości, myślałem

więc ciągle, że długo nie pożyję i że wcześniej od niejednego powędruję na tamten świat. Nie byłem też nigdy w stanie oswoić się z lękiem, jakim mnie przejmowała myśl o znalezieniu się w ziemi, chociaż myśl o tem nie opuszczała mnie w dzień ani w nocy. Wzrósłem z tą ideą fixe. Niekiedy, po kilku dniach rozmyślań, здавало mi się, że przemogłem mą trwogę. Więc cóż stąd?... Umrze człowiek i skończona historia. Wszyscy przecie w końcu umrzeć muszą i trudno sobie nawet wystawić urządzenie dogodniejsze i lepsze. Poweselałem niemal, doszedłszy do tej konkluzji, dzięki której mogłem odtąd śmierci spoglądać prosto w twarz. W tem nagły dreszcz mnie mroził, zapędzając napowrót w jarzmo opętania, jakbym porwany ręką olbrzyma, zawisł nad czarną otchłanią. Przerazająca myśl o grobie wracała, obalając wszelkie rozumowania. Ileż to razy nocą, zbudziwszy się nagle, zrywałem się, nie mogąc sobie zdać sprawy, co za tajemniczy podmuch przeleciał we śnie nademną, łamiąc rozpaczliwie ręce i jęcząc: „Boże mój! Boże!... Więc mu-

szę umrzeć?!...” Trwoga przytłaczała mi kamieniem piersi a nieuchronna konieczność zgonu nabierała jeszcze więcej ohydy w zamęcie ocknienia. Z trudem jedynie udawało mi się na powrót zasnąć, bo i sen przejmował mnie lekkiem przez podobieństwo swoje do śmierci. Jeżeli zasnę kiedy na wieki?... Jeżeli, zamknąwszy oczy, nie otworzę ich już więcej?...

Nie wiem, czy inni ludzie przechodzą kiedy także podobne męki. Mnie one zatruwały życie. Pomiedzy mną, a wszystkim co kochałem, stała bez przerwy śmierć. Pamiętam chwile największego szczęścia, spędzone z Małgorzatą. Gdy w pierwszych miesiącach naszego pożycia spoczywała u mego boku uśpiona i kiedyś, myśląc o niej, puszczał wodze rojeniom o przyszłości, zawsze obawa fatalnego rozstania mąciła moje szczęście, burzyła wszelką nadzieję. Będziemy się musieli rozstać może już jutro?... za godzinę może... I ogarniało mnie niezmierne zniechęcenie, w którym zapytywałem sam siebie, na co ten raj wspólnego życia, skoro musi się on kiedyś zakończyć rozbratem

tak okrutnym?... Imaginacya moja poczęła się lubować w żalobnych obrazach. Kto też z nas pierwszy umrze?... ja, czy ona? I obie alternatywy łzy wyciskały z mych oczu, roztaczając przedemną dalsze obrazy naszych zwichniętych istnień. W najszcześniejszych okresach mego życia miewałem z tego powodu napady nagłej melancholii, których ludzie nie mogli zrozumieć. Dziwili się wszyscy na widok mojej ponurej miny w chwilach, kiedy mnie spotkało coś przyjemnego. Powodem zaś tego była myśl o nicości, co nagle przemknęła przez mą radość. Straszliwe „po co?” dźwięczało bez ustanku, jak dzwon pogrzebowy, w moich uszach. Co jednak w podobnych udręczeniach jest najprzykrzejszem, to, że się z niemi człowiek porać musi w zawstydzającej tajemnicy, nie mając odwagi nikomu wyznać swojej męki. Nieraz z pewnością i męża i żonę, gdy zgasiwszy światło, spoczywają przy sobie, przejmie ten sam dreszcz, lecz ani jedno ni drugie nie wspomni o tem, ponieważ człowiek nie lubi mówić o śmierci, tak samo, jak nie wygłasza

pewnych słów sprośnych. Wzbudza ona w nas taki strach, że nawet nie wspominamy jej imienia, kryjąc ją jak się ukrywa swą pleć.

Rozmyślałem obecnie nad temi wszystkimi rzeczami, a moja droga Małgorzata nie przedstawiała ani na chwilę szlochać. Męczyło mnie to straszliwie, że nie mogę ukoić jej żalu, ani jej dać do poznania, że nie doświadczam żadnych fizycznych cierpień. Jeśliby śmierć nie miała być w rzeczy samej niczem więcej nad to omdlenie ciała, nie miałem doprawdy racyi tak się jej bać całe życie. Stan to był pełen jakiejś samolubnej błogości i pokoju, wolny od wszelkiej troski. Nad wszystkimi innymi władzami mej duszy pamięć moja nabrała największej żywości. Błyskawicznie poczęła się przedemną przesuwac cała moja egzystencja, niby widowisko, któremu się przypatrywałem oczyma obcego. Dziwny ten i ciekawy stan bawił mnie. Rzekłbyś: głos daleki opowiada ci własne twoje dzieje.

Nawinęło mi się między innymi wspomnienie pewnego zakątka wiejskiego w pobliżu Gu-

érande, na drodze z Piriac: lasek sosnowy, spuszczaający się na skrócie drogi bezładnie po stokach skał. Mając lat siedm, chodzę tam często z moim ojcem do wółzwałonego domu, gdzieśmy się posilali naleśnikami u rodziców Małgorzaty, solarzy, utrzymujących się z ciężką biedą z pobliskich żup. Potem przypomniało mi się kolegium w Nantes, gdzie wzrosłem w nudzie starych murów, wśród ustawicznej tęsknoty za rozległym widnokrógiem Guérandy, za słonemi bagnami, ciągnącemi się jak okiem sięgnął pod miastem, i za bezbrzeżnem morzem, rozesłanem w płaszczyznę bez końca u stóp niebios.

W tem miejscu czarna jama przerywała tok moich wspomnień: mój ojciec umarł. Dostawszy w administracyi szpitala posadę urzędnika, rozpocząłem teraz monotony żywot, którego jedyne jasne chwile przypadają w niedzielę, w godzinach odwiedzin starego domostwa w Piriac. Interesa szły tam coraz gorzej, żupy solne przestały w końcu prawie zupełnie nieść dochód, okolica popadała w coraz straszniejszą

nędzę. Małgorzata była wtenczas jeszcze dzieckiem. Lubiła mnie bardzo, ponieważ woziłem ją zawsze na taczkach. W kilka lat potem jednak, w dniu, w którym ją poprosiłem o jej rękę, ruch przełknięcia, jakim przyjęła te oświadczenia, powinien mnie być oświecić, że się jej wydawałem wstrętnym. Rodzice wszakże oddali mi ją bez wahania, gdyż uwalniało ich to od kłopotów. Przez dziecięcą uległość nie sprzeciwiła się ich woli, a oswoiwszy się raz z myślą wyjścia za mnie, zdaje się, że przestała się tem nawet martwić. W dniu naszego ślubu w Guérande lało, pamiętam, jak z cebra, tak, że za powrotem do domu Małgorzata musiała zamienić ślubną toaletę na zwykłą sukienkę, tak zmo-
kła.

Oto cała ma młodość. Czas jakiś żyliśmy w tamtych stronach. Raz jednak, wróciwszy z biura do domu, przyłapałem mą żonę na rzewnym płaczu. Nudziło jej się tam, chciała, abyśmy się przenieśli gdzieindziej. W pół roku zaoszczędziłem po groszu niewielką kwotę przy pomocy prac nadobowiązkowych. Ponieważ je-

den z dawnych przyjaciół mej rodziny zajął się wyszukaniem mi miejsca w Paryżu, zawiozłem tam drogą dziecinę moją, by więcej nie miała powodu do płaczu. W pociągu kolejowym śmiała się już. Za nadejściem nocy wziąłem ją na kolana, aby jej było miękko spać, bo ławki w trzeciej klasie są twarde!

Wszystko to należało obecnie do przeszłości. W tej chwili bowiem byłem już oto tylko nieboszczykiem, zmarłym w ciasnym hotelowym łóżku, podczas kiedy ma żona, ukłękłszy na podłodze, biadała nad moją śmiercią wśród łkań. Biała plama, którą dostrzegało lewe moje oko, bladła stopniowo; pamiętałem jednak dokładnie rozkład pokoju: po lewej komoda, po prawej kominek, na środku którego rozbity zegar bez wahadła wskazywał godzinę dziesiątą minut sześć. Okno wychodziło na ulicę Dauphiné, głęboką i czarną. Cały Paryż przewalał się na nią i to wśród takiego zgiełku, zem sły-
szał, jak od niego szyby brzęczą.

Nie znaleźmy w Paryżu oboje ani żywej duszy. Ponieważ przyspieszyliśmy nasz przyjazd,

oczekiwano mnie więc w mem biurze dopiero w najbliższy poniedziałek. Odkąd leżałem w łóżku, szczególne wrażenie wzbudzało we mnie to uwięzienie w nieznanym pokoju, do którego wtrąciła nas podróż, oszołomionych jeszcze piętnastoma godzinami jazdy kolejowej, otumanionych zgiełkiem ulicznym. Żona moja pielęgnowała mnie z tym samym co zawsze uśmiechem dobroci; czułem jednak aż nazbyt dobrze, jak bardzo musiała być stroskana. Od czasu do czasu podchodziła ku oknu, aby wyjrzeć na ulicę, poczem wracała wybladła, przerażona ogromem tego Paryża, w którym nie знаła ani jednej cegielki, a który huczał dokoła nas tak straszliwie. Co ona pocnie, jeśli się nie obudzę?... Co się z nią stanie w tem olbrzymim mieście, samą, bez żadnej opieki, nieświadomą niczego?...

Ująwszy jedną z rąk moich, bezwładnie z brzegu łóżka zwisłą, poczęła ją całować, powtarzając jakby w obłędzie:

— Oliwierze!... Odezwijże się!... Mój Boże!... Umarł!... umarł!...

Jednakże śmierć nie jest nicością zupełną, pomyślałem, skoro byłem w stanie słyszeć i rozumować. A tylko nicość przerażała mnie od dzieciństwa. Nie byłem nigdy w stanie wyobrazić sobie całkowite zniknięcie mego ja, kompletne unicestwienie tego, czem jestem, i to na zawsze, na wieki wieków, z wykluczeniem powtórnej kiedykolwiek egzystencji. Dreszcz mnie nieraz przebiegał, kiedy napotkałem w jakiej gazecie jedną z dat przyszłych najbliższego stulecia i pomyślałem: Nie będzie mnie już z pewnością podówczas przy życiu; a ów rok przyszłości, której nie obaczę, w której nie będę już istniał, ranił mnie w samo serce. Czemuż nie jestem światem całym!... i czemu nie runie wszystko po mem odejściu!

Śnić o życiu, spoczywając w uścisku śmierci, oto czego się zawsze spodziewałem. Ale stan, w jakim się znajdowałem obecnie, nie był przeciwie śmiercią. Przebudzę się z niego z pewnością lada chwila. Tak jest, tylko patrzeć, jak się podniosę na mem posłaniu i ściskając w ramionach

Małgorzatę, otrę jej łzy. Jakaż to będzie radość odzyskać się wzajem i o ileż silniej będziem się potem kochać!... Odpocznę jeszcze ze dwa dni, a potem pójdę do biura. Nowe życie potoczy się ku nam, szersze, szczęśliwsze. Lecz mi się z tem nie spieszyło. Zbyt byłem na razie przygnębiony. Małgorzata źle jednak czyniła, oddając się takiej rozpacz, dlatego tylko, że nie mam dość sił, by zwrócić do niej na poduszce głowę i uśmiechnąć się. Jeżeli się odezwie raz jeszcze: — „Umarł! o Boże mój! umarł!...” — przytulę ją do siebie i aby jej nie przestraszać, szepnę jej w uszko cichutko:

— Ależ nie, moje dziecko, ja tylko spałem. Widzisz przecie, że żyję i że cię kocham jak dawniej.

II

Na nieustanny płacz Małgorzaty drzwi się naraz roztwarły i jakiś głos zawołał:

— Cóż się takiego stało, pani sąsiadko?... Pewnie nowa kryzys!... Czy zgadłam?

Poznałem głos. Należał on do pani Gabin, niemłodej już kobiety, mieszkającej obok nas. Okazywała nam ona dużo uprzejmości od samego przyjazdu, wzruszona naszym położeniem. Opowiedziała nam zaraz całą swoją historię: nieużyty właściciel domu sprzedał jej meble tamtej zimy i odtąd mieszkała w hotelu razem z dziesięcioletnią córeczką Adelą. Wycinały obiedwie abażury, zarabiając do czterdziestu sousów dziennie na tej robocie, i z tego żyły.

— Boże! spytała naraz zmienionym głosem — czyżby to już było po wszystkim?...

Domyśliłem się, że się musiała do łóżka przybliżyć. Popatrzywszy zapewne na mnie, dotknąwszy mnie, dodała z współczuciem:

— Moje biedne dziecko!... moje biedne!...

Małgorzata wyczerpana, szlochała istotnie jak dziecko. Pani Gabin podniosła ją więc i posadziła w kulawym fotelu, stojącym obok kominka, poczem jak tylko mogła, próbowała ją tulić i pocieszać.

— Kiedy bo naprawdę... zaszko dzi pani sobie... Dlatego, że mąż umarł, nie potrzebuje

pani przecie samą siebie także uśmiercać... Prawda!... Straciwszy mego Gabina, desperowałam tak samo jak pani, trzy dni nie wzięłam nic w usta!... Lecz czy mi to co pomogło?... Przeciwnie, zwiększało tylko mój ból... Ależ na miłość boską!... bądźże pani rozsądną!...

Małgorzata poczęła się zwolna uspokajać, aż i ucichła. Była bez sił. Od czasu do czasu jednak porywał ją nowy paroksyzm łez. Tymczasem staruszka zaokupowała pokój z gderliwą obcesowością.

— Nie potrzebuje się pani o nic troszczyć...
— powtarzała w kółko. — Moja Dédé wróci niebawem, poszła właśnie po robotę... A potem sąsiedzi powinni się wzajemnie wspomagać... Czy pani już swoje kufry ze wszystkim rozpakowała?... Ale jakaś bielizna będzie jeszcze w komodzie?...

Usłyszałem, jak otworzyła szufladę. Musiała wyjąć serwetę, którą przykryła *nachtkastlik*. Następnie usłyszałem pocieranie zapalniczki, co mnie naprowadziło na myśl, że zapala przy moim łóżku, w braku woskowej, świecę z kominka.

Towarzyszyłem słuchem i myślą każdemu jej poruszeniu i zdawałem sobie sprawę z każdej jej czynności.

— Biedny pan! — lamentowała. — Ale to szczęście, że usłyszała pani płacz, kochana pani.

Naraz niewyraźne światełko, jakie dostrzegłem jeszcze do tej chwili lewym mem okiem — znikło. To pani Gabin zawarła mi powieki. Nie czułem jednak dotknięcia jej palców. Kiedym sobie z tych szczegółów zdał sprawę, zaczął mnie przejmować lekki mróz.

Wtem drzwi się otwarły i dziesięcioletnia psotnica Dédé wpadła, krzycząc fletowym głosem:

— Mamo! Mamusiu!... Ach! ja wiedziałam, że mama jest tu... Masz! oto rachunek: trzy franki cztery sous... Przynoszę dwadzieścia tuzinów abażurów...

— Pst!... cicho!... — uciszała ją matka daremnie.

A ponieważ bęben nie przestawał świergotać, wskazała jej zapewne moje łóżko. Wów-

czas Dédé umilkła. Odczułem jej przestrich; domyśliłem się, że cofa się pewno ku drzwiom.

— Czy pan śpi? — zapytała cichutko.

— Tak jest, idź się bawić — odpowiedziała pani Gabin.

Lecz dziecię pozostało w pokoju. Patrzyła pewno na mnie wytrzeszczonemi oczyma, przelekkła, domyślając się, jak przez mgłę. Wtem strach szalony musiał ją ogarnąć, bo obalając krzesło po drodze — uciekkła z krzykiem:

— Mamo!... Pan umarł, mammo!...

Nastała gębboka cisza. Małgorzata przestała płakać, nie opuszczając fotelu. Pani Gabin kręciła się ciągle z kąta w kąt. Poczęła wreszcie znowu pod nosem trajkotać:

— Przed okiem dzisiejszych dzieci niczego nie ukryjesz... Na przykład moja mała. Bóg jeden widzi, że chowam ją jak najlepiej. Kiedy idzie za jakim sprawunkiem albo kiedy ją pošlę z robotą, minuty liczę, aby mieć pewnośc, że ani przez chwilę nie zbijała bąków... Ale co to znaczy, kiedy ona i tak rozumie wszystko... dosyć jej rzucić okiem i już wie... jak teraz...

A przecież raz tylko w życiu widziała nieboszczyka wuja Franciszka, w czasach kiedy miała dopiero nie całe cztery lata... Ha no, co pani chce, nie ma już dzieci!...

Przerwała na chwilę, aby bez żadnych przejść zmienić temat, kontynuować:

— Moja biedna dziecino, pozwól pani sobie przypomnieć, że trzeba pozałatwiać pewne formalności, zgłosić to, co się stało, w meroście, zamówić pogrzeb. Stan pani nie pozwala naturalnie na zajęcie się tem wszystkim... Co do mojej osoby znów — nie chciałabym pani zostawiać samej... Otóż jeżeliby nie miała nic przeciwko temu, poszłabym zajrzeć, czy pan Simoneau jest u siebie!

Małgorzata nie dała na to żadnej odpowiedzi. Wszystkiemu temu towarzyszyłem słuchem jakby z bardzo daleka. Zdawało mi się chwilaми, że się unoszę niby płomyk jakiś, nadzwyczaj subtelny, w powietrzu, wypełniającem pokój, podczas kiedy ktoś inny, bezkształtna masa jakaś, bezwładnie spoczywa na mem łóżku. Swoją drogą byłbym wolał, aby Małgorzata od

razu odrzuciła usługi tego Simoneau. Widziałem go trzy czy cztery razy wszystkiego w czasie mej krótkiej słabości. Zajmował jeden z sąsiednich pokoi. Był nadzwyczaj usłużny. Pani Gabin opowiadała nam, że bawi on w Paryżu tylko w przejeździe celem ściągnięcia kilku wiarytelności po swoim ojcu, który wycofawszy się w swoim czasie z interesów na prowincję, zmarł niedawno. Był to młody człowiek słusznego wzrostu, bardzo przystojny, silnie zbudowany. Nienawidziłem go, prawdopodobnie dlatego, że był taki piękny. Kiedy wczoraj wieczorem wstąpił do nas na chwilę, widok tego junaka u boku Małgorzaty sprawił mi formalne cierpienie! Ona była przy nim taka ładna, taka bielutka!

A on wpatrzył się w nią tak głęboko, kiedy do niego mówiła uśmiechnięta, że bardzo jest łaskaw, zadając sobie trud dowiadywania się o moje zdrowie.

— Otóż i pan Simoneau — szepnęła pani Gabin, wchodząc.

Lekko otworzył drzwi, a Małgorzata na jego widok nowym wybuchnęła płaczem. Pojawienie się jedynej znajomej osoby w Paryżu wskrzesiło w niej przygasły ból. Nie starał się jej wcale pocieszać. Nie mogąc go widzieć w otaczającym mnie mroku, wywoływałem w duchu widok jego twarzy, którą rozpacz biednej kobiety zasępiła smutkiem. A jaka ona musiała być w owej chwili piękna, z rozpuszczonymi blond włosami, z swem bladym licznikiem, z temi najdroższymi dla mnie na całym świecie rączkami dziecka, rozpalonemi gorączką.

— Jestem na pani usługi — szepnął Simoneau — i jeżeli pani tylko zechce zdać się ze wszystkim na mnie...

Odpowiedziała mu jakimś urwanym słówkiem... Ponieważ jednak młody człowiek zabierał się do odejścia, pani Gabin zbliżyła się doń i poczęła coś szeptać; w chwili gdy przechodzili koło mnie, usłyszałem, że poruszyła kwestyę wydatków. Są to rzeczy bardzo kosztowne, a bała się, że biedne kobieciątko jest bez

grosza. Na wszelki sposób trzeba jej będzie zapytać. Lecz Simoneau prosił staruszkę, aby nie udręczała Małgorzaty dotykaniem tej sprawy w takiej chwili. Powiedział, że idzie zaraz do mera i że zamówi pogrzeb.

Gdy znów zapanowało milczenie, zapytałem sam siebie, czy długo jeszcze ta zmora będzie trwać. Żyłem — skoro najdrobniejsze fakta w świecie zewnętrznym dochodziły mej świadomości. Mogłem sobie również zdawać sprawę z mego stanu. Musiał tedy u mnie zachodzić przypadek katalepsy, o jakich słyszałem nieraz. Jeszcze w dzieciństwie, w epoce mojej ciężkiej choroby nerwowej, zdarzało mi się niejednokrotnie zapadać w omdlenia, trwające po kilka godzin. Taka sama to kryzys widocznie pogrążyła mnie teraz w strętwnieniu, jakby pozbawiła życia, wywierając toż samo wrażenie na mych blizkich. Serce jednak odzyszcze po pewnym czasie normalną siłę tętna, krew zacznie po dawnemu krążyć w owisłych muskułach a wówczas, ocknąwszy się, utulę Małgosię.

Rezonując w duchu w podobny sposób, napominałem się usilnie do cierpliwości.

Godziny tymczasem mijały, pani Gabin przyniosła śniadanie. Małgorzata odtrąciła jednak wszelki posiłek. Zeszło i popołudnie. Otwartem oknem wpadał z ulicy Dauphiné straszliwy huk stołecznej ruchawki. Po lekkim dźwięku mosiądzu na marmurowej tafli nachtkastlika domyśliłem się, że w lichtarzu muszą zmieniać świecę. Nakoniec zjawił się Simoneau.

— I cóż — zapytała staruszka półgłosem.

— Wszystko załatwione — odparł. — Pogrzeb odbędzie się jutro o jedenastej. Nie kłocz się pani o nic i nie poruszaj wcale tych rzeczy wobec tej biednej kobiety.

Pani Gabin ozwała się mimo tej uwagi:

— Lekarz od umarłych jeszcze nie był stwierdzić zgonu.

Simoneau poszedł usiąść przy Małgorzacie, dodawał jej odwagi, w końcu zamilkł. Pogrzeb nazajutrz o jedenastej — słowa te brzmiały jak dzwon cmentarny w mojej czaszce. A ten lekarz, którego dotąd nie było widać, ten lekarz

od umarłych! jak go nazwała pani Gabin... Ale spostrzeże on oczywiście natychmiast, że jestem poprostu w letargu, zrobi co należy, i będzie wiedział, jak mnie przebudzić. Czekałem na niego z straszliwą niecierpliwością.

Tymczasem dzień zbiegł. Pani Gabin aby nie tracić czasu, przyniosła od siebie do nas swoje abażury, a nawet, uzyskawszy zezwolenie Małgorzaty, przywołała Dédé, ponieważ nie lubiła dzieci długo zostawiać samych.

— Dédé, chodź tutaj — szepnęła, biorąc dziewczynkę za rękę — a nie próbuj udawać głuptasa, proszę cię, i nie patrz mi w tamtą stronę, bo będziemy miały z sobą do pogadania.

Zabroniła jej patrzeć na mnie, znajdując, że to nie wypada. Dédé musiała jednak z pewnością pomimo tego zerkać od czasu do czasu w moją stronę, słyszałem bowiem, jak jej matka wymierzała klapsy. Wołała przytem z furją:

— Patrz roboty, albo ci każę wyjść. Pamiętaj, że tej nocy pan przyjdzie cię straszyć.

Obie, matka i córka, rozgospodarowały się na dobre na naszym stole, dźwięk nożyczek, któremi wycinały abażury, dolatywał mych uszu wyraźnie. Te, nad którymi pracowały w danej chwili, musiały mieć wzór delikatny i wymagający roboty skomplikowanej, postępowała ona bowiem powoli; począłem rachować cięcia, by czemś zagłuszyć rosnące me obawy.

W pokoju zaś nie było nic słychać prócz szczęku nożyczek. Małgorzata musiała się zdrzemnąć zmożona znużeniem. Simoneau powstał dwa razy. Okropna myśl, że gotów on może korzystać z snu Małgorzaty, by dotknąć ustami jej włosów, stała się dla mnie męczarnią. Nie znałem tego człowieka, czułem jednak, że zakochał się w mojej żonie. Wtem śmiech małej Dédé pobudził mnie do gniewu.

— Czego ty się śmiejesz, głupia — ofuknęła ją matka. — Ej, każę ci stać w kącie! Dalej!... mów, czemu się śmiałaś?!

Dzieciak zaczął kręcić: ona się nie śmiała, kaszlnęła tylko. Mnie jednak przemknęło przez głowę, że musiała pewno zobaczyć, jak Simo-

neau nachylał się ku włosom Małgorzaty, i to ją rozśmieszyło.

Zapalono lampę. Wtem rozległo się pukanie.

— Ach! otóż i pan konsyliarz — ozwała się stara kobieta.

Był to lekarz w rzeczy samej. Nie tłumaczył się wcale z tak spóźnionego przybycia. Musiał zapewne zrobić niemało pięt w ciągu dnia. Lampa widocznie bardzo słabo oświetlała pokój, bo zapytał:

— Czy ciało jest tu?

— Tak, panie — odrzekł Simoneau.

Małgorzata podniosła się. Pani Gabin kazała wyjść Dédé, gdyż dziecko nie potrzebuje być obecnym przy takich rzeczach, następnie zaś usiłowała odprowadzić swoją żonę pod okno, aby jej oszczędzić przykrej sceny.

— Czy może poświecić panu lampą? — zapytał Simoneau uprzejmie lekarza.

— Nie, to zbyteczne — odrzekł tamten.

Co?!... Zbyteczne?!... Ten człowiek miał życie moje w swych rękach i uważał za rzecz zby-

teczną przedsięwziąć dokładne badanie?!... Ależ ja nie byłem umarłym! — chciałem w niebo-głosy krzyczeć, że umarłym nie jestem!

— O której godzinie zmarł? — zapytał.

— O szóstej rano — odparł Simoneau.

Wściekły bunt podniósł się we mnie w spę-taniu straszliwych więzów, co pozbawiły mnie władz wszystkich. Ach! nie móż się odezwać!... nie być w stanie uczynić jednego ruchu w po-dobnem położeniu!...

Lekarz dodał:

— To ciężkie powietrze, jakie mamy obec-nie, nie wiele jest warte... Nic bardziej nużące-go niżeli pierwsze dni wiosny...

I poszedł!... z nim razem moje życie... Łzy, wołania, przekleństwa dusiły mnie, rozdzierały me gardło w konwulsjach, z którego ani jed-no westchnienie nie było w stanie się wydo-być... Och! nędznik!... którego zawodowa ru-tyna przemieniła w maszynę, zbliżającą się do posłania zmarłych z myślą o jaknajszybszem do-pełnieniu jedynie urzędowej formułki!... Czło-wiek ten zatem nic nie umiał!... Cała jego wie-

dza kłamstwem była! skoro nie potrafił jednym rzutem oka rozróżnić życia od śmierci. I poszedł!... poszedł!...

— Dobranoc, panie doktorze — zegnał go Simoneau.

Zapanowało milczenie. Lekarz skłonił się Małgorzacie, która wróciła od okna, a pani Gabin zamykała je tymczasem. Wreszcie wyszedł z pokoju, a z schodów doleciały mu jeszcze jego kroki.

Skończyło się więc!... wyrok nademną zapadł. Ostatnia moja nadzieja znikła wraz z tym człowiekiem. Jeżeli się nie obudzę jutro do godziny jedenastej — zakopią mnie żywcem. Była to myśl tak straszna, że pozbawiła mnie na chwilę zupełnie świadomości tego, co się naokół działo. Było to jakby ostateczne onieprzytomnienie samej już śmierci. Ostatnim, jaki jeszcze doszedł mych uszu, dźwiękiem, był zgrzyt nożyczek pani Gabin i małej Dédé. Zaczęła się noc żałobna. Nikt się nie odzywał. Małgorzata nie chciała iść spać do pokoju pani Gabin. Zdało mi się, że ją widzę, jak siedzi w napół

łężącej postawie w głębi fotelu, a łyżę perłą się na rzęsach wprzymkniętych oczu pośród jej bladej twarzyczki, w którą Simoneau, siedząc w cieniu naprzeciw niej, wpatruje się milcząco.

III

Nie potrafię opisać, jakie męki konania przeszedłem następnego ranka. Pozostało to wszystko dla mej pamięci jakby zmorą okropnego snu, w którym odbierane przezemnie wrażenia tak były zamglone i osobliwe, że ich dokładne odmalowanie przyszłoby mi z trudnością. Co męki moje czyniło okrutnemi nad wyraz, to nieustająca nadzieja nagłego przebudzenia. W miarę zaś, jak się zbliżała godzina pogrzebu, strach mój poczynał mnie dławić poprostu!...

Dopiero z rana odzyskałem świadomość otaczających mnie osób i rzeczy. Trzask otwieranego okna zbudził mnie ze snu. To pani Gabin chciała do pokoju wpuścić trochę świeżego powietrza. Musiało być około siódmej, bo słychać było wołania przekupniów na ulicy, jakie

poprzednich dni dolatywały mnie zawsze o tej porze. W pierwszej chwili zgiełkliwe budzenie się Paryża uspokoiło mnie. Wydało mi się niepodobieństwem, aby mnie miano zagrzebać w ziemi pośród takiego wrzątku życia. Pewne przypomnienie uspokoiło me obawy do reszty. Spotkałem się już był raz z podobnym memu przypadkiem, będąc urzędnikiem w szpitalu w Guérande. Jakiś mężczyzna leżał całe dwadzieścia cztery godzin pogrążony w śnie tak głębokim, że lekarze nie mieli odwagi stanowczo orzec, czy to letarg, czy śmierć. Wtem śpiący podniósł się, usiadł na pościeli i bez żadnego wysiłku był w stanie wstać. Co do mnie — sen mój trwał już godzin dwadzieścia pięć. Jeżeli się przebudzę około dziesiątej, nie będzie za późno jeszcze.

Próbowałem zdać sobie sprawę z tego, kto jest w pokoju i co się w nim dzieje. Mała Dédé musiała się znajdować na korytarzu, bo za otwarciem drzwi jej śmiech dziecięcy doleciał z zewnątrz. Pana Simoneau według wszelkiego prawdopodobieństwa nie było jeszcze, żaden odgłos

bowiem nie zdradzał przedemną jego obecności. Tylko człapaki pani Gabin suwały się w różne strony po podłodze. Nakoniec dał się słyszeć głos ludzki:

— Moja kochana pani — odezwała się stara — źle pani robi, że pani nie pije, póki gorąca, bo toby panią bardzo pokrzepiło.

Słowa te zwrócone były oczywiście do Małgorzaty, a cichy, perlisty plusk kropel na kominku objaśnił mnie, że staruszka gotuje kawę.

— Nie mówię wcale, aby gadać — ciągnęła dalej — ale i ja się potrzebowałam pokrzepić... W moim wieku bez tego ani rusz, a cóż dopiero, kiedy trzeba noc całą przesiedzieć... Kiedy w domu jest nieszczęście, to tak czegoś w nocy smutno... No napijże się pani kawy, moja kochasiu, tylko kropelkę...

I przymusiła Małgorzatę do wypicia filiżanki.

— A co?... Jakie rozgrzewające!... Prawda?... To panią na nogi postawi. Pani potrzeba sił, żeby dociągnąć do wieczora... A teraz jeżeli

paniusia jest naprawdę grzeczna, to pójdzie do mego pokoju i tam będzie czekać...

— Nie; pozostanę tu — odparła Małgorzata rezolutnie.

Głos jej, którego dźwięku nie słyszałem od wczoraj, poruszył mnie żywo. Był jakiś zmieniony, złamany przez ból. Ach! kobieciątko moje kochane!... Poczucie, że jest przy mnie, było mi pociechą najwyższą. Wiedziałem, że nie odwraca odemnie oczu, że oplakuje mnie wszystkimi łzami swego serca.

Minuty jednak biegły. Za drzwiami rozległ się łoskot, którego nie umiałem sobie w pierwszej chwili wytłumaczyć. Rzekłbyś: przenoszenie jakiegoś dużego sprzętu, obijającego się po drodze o ściany schodów zbyt ciasnych. Wnet jednak zrozumiałem, posłyszawszy nowy wybuch płaczu Małgorzaty. Była to trumna.

— Za wcześnie przyszliście — odezwała się pani Gabin tonem gderliwym. — Postawcie to tam, za łóżkiem.

Któraż więc była godzina?... Dziewiąta zapewne... A trumna była już na miejscu... I oto

widziałem ją myślą wśród czarnego mroku: nowiutką, z ledwo ociosanych desek... Mój Boże!... Więc koniec ten był nieunikniony?... wyniosą mnie w owej skrzyni, którą tam czuję u mych stóp?...

Wtem spłynęła na mnie ostatnia już, jakiej spodziewać się mogłem, radość. Małgorzata, mimo swego osłabienia, postanowiła mi sama oddać ostatnie posługi... Sama, z pomocą starej, poczęła mnie ubierać, okazując mi przytem czułą troskliwość małżonki i siostry. Ilekroć oblekała mnie w jakąś część ubioru, czułem, że jestem raz jeszcze w jej ramionach. Przerwała wreszcie tę robotę, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, i podchwyciwszy mnie w objęcia, oblała mnie łzami, ściskając. Czegożbym nie dał, by móżdż odwzajemnić jej uścisk i krzyknąć: — „Ja żyję!...” — pozostałem jednak bezwładny, powolny wszystkiemu, co ze mną robić chciano, jak kłoda bez życia.

— Źle pani robi... to wszystko na straconie... — zwracała jej uwagę pani Gabin.

— Pozwól pani... Chcę go ustroić w to, co mamy najpiękniejszego...

Domyśliłem się, że mnie pewno ubiera jak niegdyś do naszego ślubu. Posiadałem jeszcze te suknie, miały mi one w Paryżu służyć tylko na wielkie święta. W końcu jednak padła na fotel wyczerpana wysiłkiem.

W tej chwili dał się słyszeć głos pana Simoneau. Musiał wejść co tylko.

— Są na dole — szepnął do naszej sąsiadki.

— Dobrze, w samą porę — odparła pani Gabin zniżonym również głosem. — Zawołaj ich pan, czas skończyć.

— Boję się wybuchu żalu tej biedaczki...
— znów szepnął.

Stara jakby się namyślała przez chwilę, aż rzekła:

— Słuchajno pan, panie Simoneau, musi ją pan, choćby przemocą, do mego pokoju zaprowadzić... Ona tutaj nie może pozostać... Oddamy jej tem tylko przysługę... Tymczasem ludzie się tu załatwią raz, dwa...

Słowa te ugodziły mnie w samo serce. A cóż się dopiero musiało we mnie dziać, kiedy mnie doleciały odgłosy walki, jaka nastąpiła teraz... Simoneau podszedł ku Małgorzacie, błagając ją, aby opuściła pokój.

— Przez litość — nalegał — pójdź pani ze mną, oszczędź sobie bezpożytecznego bólu!...

— Nie, nie — powtarzała moja żona zarazem — zostanę, zostanę tu do ostatka. Pomyśl pan, że jego tylko jednego mam na świecie, a gdy jego nie będzie, zostanę samiuteńka...

Ale pani Gabin, stojąca tuż przy łóżku, szepnęła młodemu człowiekowi w ucho:

— Nie stójże pan w miejscu... Weź ją pan silnie za ręce i wyprowadź...

Czy Simoneau posłuchał tej rady, nie wiem, ale w tej samej chwili Małgorzata krzyknęła. W szalonym wysiłku chciałem się zerwać i bronić jej. Niestety, ciało moje było bezwładne; pozostałem na łóżku niezdolny nawet uchylić powieki, aby zobaczyć, co się przedemną dzieje? Walka się przedłużała, żona moja chwytając się mebli, wołając:

— Litości!... litości, panie!... Proszę mnie puścić... ja nie chcę!...

Musiał ją jednak w końcu ująć w swe potężne ramiona i wynieść, ponieważ wydawała z siebie już tylko dziecięce jęki, które cichły w oddali; mnie się zaś wydawało, że widzę przed sobą oboje: jego, rosłego, mocnego, uprawiającego u swych piersi, na swojej szyi, zapłakaną, złamaną, poddającą się, gotową z nim iść odtąd wszędzie, gdzieby ją tylko zechciał zaprowadzić.

— Hm!... nie poszło to tak łatwo... — mruknęła pani Gabin. — No, a teraz: hops! kiedy nam nikt nie przeszkadza.

W szale zazdrości, jaki mną owładnął, to, co się przed sekundą stało, wydało mi się porwaniem ohydny. Straciłem Małgorzatę z oczu od wczoraj, lecz jeszcze ją słyszałem przynajmniej. Teraz już było po wszystkim; zabrano mi ją, zupełnie; inny ją uprawiał, zanim ja jeszcze znalazłem się w ziemi. I był z nią sam na sam tuż obok za ścianą, pocieszał ją, tulił może do siebie!...

Wtem drzwi się znowu otwarły, do pokoju wkroczyły ciężkie stopy.

— Prędko, prędko — ozwała się pani Gabin. — Bo nam tu ta biedaczka lada chwila gotowa wrócić.

Mówiła tak do jakichś obcych ludzi, którzy odpowiadali jej mrukiem.

— Ja, uważacie, nie jestem żadna krewna, tylko sąsiadka... Tylko niechże wam się znów nie zdaje, że tutaj co zarobię... Ot, z dobrego serca zajęłam się jej interesami... Nie wesola to historia... Dosyć powiedzieć, że całą noc ani nie zmróżyłam oka... A koło czwartej zrobiło się naraz tak zimno... At, głupia byłam całe moje życie... za dobra!

W tej chwili wyciągnięto trumnę na środek pokoju, więc zrozumiałem, co mnie teraz czeka. Byłem skazany! — ponieważ ocknienie, któregom tak gorąco pragnął, nie przyszło. Myśli moje straciły naraz swoją przejrzystość, wszystko zakłębiło się we mnie w czarnym tumanie strachu, a tak bezbrzeżna ogarnęła mnie przytem niemoc, że było prawdziwą

ulgą poddać się fatalizmowi wypadków, przestając liczyć na cokolwiek.

— Nie żałowali drzewa — rozległ się ochrypły głos jednego z karawaniarzy. — Koryto jak na wyrost...

— Będzie mu wygodniej — wesoło odparł drugi.

Nie byłem zbyt ciężki, cieszyli się z tego; mając na dół trzy piętra. Kiedy mnie wzięli za nogi i za ramiona, naraz dał się słyszeć gniewny głos pani Gabin.

— Przeklęty bęben! Wszędzie musi nos wetknąć!... Czeka! dam ja ci zaglądać przez szparę...

To Dédé, uchyliwszy drzwi, wściubiła pewnie do pokoju swą rozczochraną główkę. Chciała zobaczyć, jak pana będą pakować w pudło. Klasnęły dwa rzęsiste policzki, po nich bek. Następnie matka wróciła i dalejże w gawędę o córce z posługaczami, którzy układali mnie tymczasem w trumnie.

— Ma dopiero dziesięć lat i niezłe z niej dziewczysko, tylko ciekawa!... Ja ją bardzo rzadko biję, ale trudno... dziecko musi słuchać...

— Moja pani — odpowiedział jeden z ludzi — wszystkie dzieci są takie. Niech tylko gdzieś ktoś kiwnie, już się to zaraz kręci koło nieboszczyka jak muchy...

Ułożono mnie wygodnie i mogłoby mi się zdawać, że jestem wciąż jeszcze w łóżku, gdyby nie niewyraźne uczucie przykrości w lewej ręce, zanadto przyciśniętej do desek. Jak zresztą powiedzieli, bardzo mi tam było dobrze, dzięki mej drobnej budowie.

— Czekajcie no jeszcze — zawołała pani Gabin. — Przyrzekłam żonie, że mu włożę poduszkę pod głowę.

Lecz posługacze nie mieli czasu, któryś z nich wtłoczył mi poduszkę pod głowę brutalnie. Drugi szukał młotka na wszystkie strony, klnąc. Pokazało się, że go zapomnieli na dole, trzeba było poń zejść. Wreszcie nakryli trumnę wiekiem i dwa uderzenia młotka wbiły pierwszy gwóźdź, przejmując mnie od stóp do gło-

wy dreszczem. Stało się, przestałem należeć do żywych. Teraz gwoździe poczęły się w drzewo wpajać jeden po drugim, wśród stuku młotka, spadającego na nie rytmicznie za każdym razem. Rzekłbyś: służba sklepowa pakuje w magazynie suszone owoce z niefrasobliwą zwinnością. Odtąd też wszystkie odgłosy poczęły mnie dolatywać rozlane i zgłuszone, brzęcząc w dziwny sposób, jakby sosnowa trumna zmieniała się w pudło olbrzymiej harmoniki. Ostatnią przestroga, jaka mnie doleciała przy ulicy Dauphiné z ust pani Gabin, były słowa:

— A schodźcie powoli i nie wspierajcie się o poręcz na drugim piętrze, bo zepsuta.

Niesiono mnie. Miałem wrażenie, że płynę po rozkołysanem morzu. Od chwili tej zresztą wspomnienia moje stają się coraz niewyraźniejsze... To tylko sobie przypominam, że jedyną rzeczą, jaka mnie całą drogę zaprzętała w niedorzeczny i machinalny jakiś sposób, było usiłowanie zdania sobie sprawy, którędy zdążamy na cmentarz. Nie znałem w Paryżu ani jednej ulicy, położenie wielkich cmentarzy, któ-

rych nazwy obijały mi się niekiedy o uszy, nie było mi również wiadomem, nie przeszkadzało mi to jednak wysilać ostatnie błyski inteligencji w tym jedynie celu, aby przeniknąć, czy w danej chwili skręcamy w lewo, czy w prawo. Karawan trzął mną po bruku. Turkot wozów, wrzawa przechodniów dokoła mnie składały się na jeden wielki, nierozzerwalny huk, który rezonans trumny potęgował jeszcze.

Z początku zdawałem sobie sprawę z kierunku drogi dość dokładnie. Naraz zatrzymaliśmy się, wzięto mnie na ramiona, domyśliłem się, że stoimy przed kościołem. Kiedy jednak karawan na nowo wyruszył, straciłem od-tąd wszelkie poczucie przebywanych miejsc. Głos dzwonów objaśnił mnie, że mijamy kościół; powolniejsza i równiejsza jazda naprowadziła mnie znów na myśl, że jedziemy drogą spacerową. Byłem niby skazaniec, wieziony na miejsce stracenia, wyczerpany już do ostatka lękiem, oczekujący już tylko, prawie z upragnieniem, ostatecznego ciosu, który nie spadał.

Zatrzymaliśmy się znów. Wyciągnięto mnie z karawanu, wszelki hałas nagle ustał, uczułem, że muszę się znajdować w miejscu pustym pod drzewami, z olbrzymim nieboskłonem nad głową. Zapewne kilka osób towarzyszy orszakowi, ktoś z lokatorów hotelu, Simoneau i inni, albowiem szepty ludzkie dochodziły aż do mnie. Zabrzmiał psalm, ksiądz począł recytować łacińskie wyrazy. Dreptano jeszcze dokoła ze dwie minuty. Naraz uczułem, że się zaczynam zapadać, i w tejże chwili trumna, o której kanty naprężone powrozy tarły się nakształt smyków, wydała z siebie huczący ton rozbitej basetli. Skończyło się. Huk straszliwy, podobny do armatniego strzału, rozległ się cokolwiek na lewo od mej głowy, po chwili drugi, taki sam u mych nóg, inny, jeszcze gwałtowniejszy ugodził w okolicy mego brzucha, a tak rozgłosnie, że myślałem: trumna pękła na dwoje pod bryłami walącej się ziemi. W tej chwili straciłem przytomność.

IV

Jak długo zostawałem w tym stanie — nie umiałbym odpowiedzieć. Sekunda i wieki jednakiego są trwania w nicości. Przestałem istnieć. Stopniowo i nieznacznie poczęła mi wracać świadomość bytu. Spałem ciągle, zacząłem jednak śnić. Z czarnego tła, zamykającego mój widnokrąg, wyłoniła się mara. Snem zaś jaki miałem, był ów dziwny obraz, co dręczył mnie już wiele razy niegdyś, w czasach, kiedym z otwartymi oczyma, pod wpływem wrodzonego usposobienia do straszliwych inwencji, lubował się w okrutnej rozkoszy wymyślania Bóg wie jakich spadających na mnie katastrof.

Wydało mi się, że żona oczekuje mnie gdzieś prawdopodobnie w Guérande, i że wsiadłem do pociągu kolei żelaznej, aby się do niej udać. W chwili gdy pociąg przebywał tunel, straszliwy łomot rozległ się naraz z hukiem piorunu: skały załamały się w tunelu w dwóch miejscach. Na pociąg nie spadł ani jeden kamyczek, wagony pozostały nietknięte, tylko na obu koń-

cach tunelu, przed nami i za nami, zapadły się sklepienia skalne, a my znaleźliśmy się w ten sposób zamurowani w wnętrzu góry usypem z głazów. Wówczas poczęło się konanie długie i straszne. Żadnej nadziei ratunku; całego miesiąca czasu by trzeba na oczyszczenie tunelu, a i ta praca wymagałaby tysiącznych ostrożności i machin niebywale potężnych. Byliśmy więźniami, w pewnego rodzaju piwnicy bez wyjścia. Śmierć wszystkich stała się kwestyą kilku godzin.

Nieraz już, powtarzam, imaginacja moja przetrawiała tę wizję straszliwą. Przebieg dramatu ulegał przytem nieskończonym wariantom. Aktorami jego mężczyźni, kobiety, dzieci, setka z górą osób, cały tłum, który dostarczał mi ciągle coraz to nowych epizodów. W pościgu było oczywiście trochę żywności, wyczerpała się ona jednak niedługo i czereda zgłodniałych nieszczęśliwców, nie posuwających się jeszcze do pożerania się wzajemnie, staczała między sobą wściekłe walki o ostatnią kruszynę

chleba. Tu konał starzec, odepchnięty potężnym uderzeniem pięści silniejszego zapaśnika, tam matka biła się jak wilczyca o trzy lub cztery kęski, schowane dla swego dziecięcia. W moim wagonie młode małżeństwo charczało w wzajemnym uścisku, bezwładni, bez isierki nadziei w sercu. Droga była zresztą w obie strony na dużej przestrzeni wolną i ludzie, wysiadając, błąkali się wzdłuż toru, jak szukające żeru zwierzęta, gdy je puścić z uwięzi. Wszystkie stany zmięszwały się z sobą pod obuchem nieszczęścia. Jakiś bogacz, wysoki — mówiono — dygnitarz, płakał na szyi robotnika, tykając go. Zaraz w pierwszych godzinach lampy się wypaliły, ogień pod lokomotywą zgasł. Przecho-
dząc od wagonu do wagonu, ludzie macali koła jak ślepcy, aby się o co nie uderzyć, i zaszedłszy w ten sposób aż do lokomotywy, poznawali po zimnem palenisku, po olbrzymich bokach uśpionych tę mocarkę, bezużyteczną teraz, niemą i nieruchomą w mroku. Nic bardziej przerażającego, niżeli ten pociąg zagwożdżony pod ziemią w całości, żywcem pogrzebany wraz

z całą gromadą podróżnych, umierających jedni za drugimi.

Dziwnie się lubowałem zawsze w straszliwej grozie tego obrazu, nurzając się w najdrobniejszych jego szczegółach. Wycia rozpaczły przeszywały tam co chwila ciemność. Ni stąd, ni zowąd, któryś z towarzyszy, o którym nie wiedziałeś, że się tuż obok znajduje, zwał ci się na plecy całym ciężarem ciała, mdlejącego na wieki. Tym razem wszakże największe katusze zadawało mi zimno i brak powietrza. Nigdy w życiu nie zaznałem tak wielkiego zimna; formalnie płaszcz z śniegu przytłaczał mi ramiona, lodowata wilgoć spływała na moją czaszkę. Zaczynałem się dusić; zdawało mi się, że skaliste sklepienie przytłacza mi już pierś, że cała góra ciąży na mnie i rozgniata me ciało. Wtem zabrzmiał okrzyk ocalenia. Od dłuższego czasu już zdawało się nam, że słyszemy w oddali głuchy huk, to też dawaliśmy się unosić nadziei, że ludzie pracują niedaleko nad przekopem. Ratunek mimo tego nie nadchodził. Aliści jeden z nas odkrył w sklepieniu

tunelu studnię; pobiegliśmy tam zaraz wszyscy przypatrzeć się wentylowi, na którego szczycie widać było jasno niebieską plamkę, nie większą od dłoni. Ach! co za radość, co za szczęście na widok tej plamy błękitnej!... To było niebo!... Wspinaliśmy się na palce, by w siebie wetchnąć dopływające stamtąd powietrze, rozróżnialiśmy wyraźnie czarne punkciki, poruszające się na jej tle, zapewne sylwety robotników, zajętych urządzeniem windy, która nas miała ocalić. Szalony krzyk: — „Uratowani!” — wydarł się z piersi wszystkich, podczas kiedy ręce wyciągały się drżące ku tej małej, zbawczej plamce bladego lazuru.

Siła tego okrzyku musiała mnie zbudzić. Gdzie byłem?... Jeszcze w tunelu zapewne... Leżałem w całej mojej długości wyciągnięty, czując z prawej i lewej strony coś twardego, co uciśkało mi boki. Chciałem powstać, uderzyłem się jednak mocno w głowę. Więc głązy przywalały mnie zewsząd?... A owa plamka niebieska zniknęła... nie było nademną nieba nawet

w oddali... Dusilem się nieprzerwanie, dzwoniłem zębami z zimnego dreszczu...

Naraz — przypomniałem sobie. I groza podniosła mi włosy, odczułem przeokropną rzeczywistość, krążącą w żyłach moich od głowy do samych stóp strumieniem lodu. Opuściłoż mnie nakoniec zemdlenie letargu, który przez godzin tyle trzymał mnie w skrzepłej sztywności trupa? Tak jest!... mogłem się ruszać, przesuwalem ręce po deskach trumny. Pozostało mi przedsięwziąć próbę ostatnią: otwarłem usta i wydałem z siebie głos, przyzywając instynktownie Małgorzatę. Krzyk mój jednak przybrał w tem sosnowem pudle dźwięk zduszony i tępy, a taki straszny, że mnie samego przejął zgrozą. Boże mój!... Więc to prawda?... Żebym się nie wiedzieć jak rzucił i krzyczał, że żyję, głos mój nie dojdzie ludzkich uszu, pozostanę uwięzionym, przysypanym ziemią.

Tylko z największym wysiłkiem zdołałem uspokoić sam siebie i zmusić do zastanowienia. Czyż nie ma naprawdę żadnego sposobu wyjścia?... Sen mój począł wracać, mózg mój nie

dość był jeszcze mocny, począłem mięszać wyimaginowaną wizję powietrznej studni i plamki nieba u jej wylotu, z rzeczywistością grobu, w którym się dusiłem. Szeroko rozwartymi oczyma wpatrywałem się w ciemność. A może spostrzegł gdzie istotnie otworek, ryse, kropelkę światłości?... Nic jednak oprócz ognistych iskierek nie było widać w grobowej czerni; różowe błyski, mignawszy rozlewały się i nikły. Nic!... czarna otchłań bez dna... Po chwili przecież odzyskałem napowrót świadomość i odpuściłem niedorzeczne majaki. Uczułem, że powinienem wyteńczyć wszystkie władze mego umysłu, jeżeli pragnę pokusić się o ocalenie.

Z początku największym niebezpieczeństwem wydało mi się uduszenie z braku powietrza, który się wzmagał z każdą chwilą. Tak długo obywać się bez powietrza mogłem bez wątpienia tylko za sprawą letargu, który w organizmie moim zawiesił wszelkie potrzeby i funkcje żywotne. Obecnie jednak, kiedy serce moje biło, gdy płuca me oddychały napowrót, śmierć z uduszenia, jeżeli się stąd nie wydostanę jak

najprędzej, groziła mi niechybnie. Dokuczało mi również zimno, a przytem bałem się popaść w ów sen śmiertelny ludzi zaskoczonych przez mróz, co się zeń więcej nie budzą.

Nie przestając sobie powtarzać, że mi potrzeba spokoju nadewszystko, odczuwałem już jednak chwilami nagłe spazmy obłądu, poczynające nacierać na mój mózg. Staralem się więc krzepić w sobie ducha rozpamiętywaniem wszystkiego, co mi było wiadomem o sposobach grzebania umarłych. Pochowano mnie zapewne w grobie zakupionym na lat pięć. Odbierało mi to pewną nadzieję, zauważyłem bowiem niegdyś jeszcze w Nantes, że cienkie odstępy pomiędzy wspólnymi grobami ubogich pozwalały niekiedy dojrzeć kant trumny na ostatku pochowanych. Wystarczyłoby mi w podobnym wypadku wyłamać jedną z desek, aby się z niej wy dostać. Tymczasem jeśli się znajdowałem w grobie całkowicie zasypnym, to miałem nad sobą cały gruby zwał ziemi, stanowiący nielada zaporę. Słyszałem, że w Paryżu grzebią nieboszczyków w grobach głębokich na sześć stóp. Jak-

że się tu przebić przez tak potężną masę?... Gdybym nawet zdołał rozwalić wieko, czyż ziemia nie dostanie się natychmiast do wnętrza trumny, czy nie zasypie jej piasek, wtłaczając mi się w oczy, nos, usta?... Wszak i to będzie śmierć, choć w innej formie, śmierć okropna! utonięcie w miazdze dławiącej...

Mimo te wszystkie myśli, macałem starannie dokoła siebie. Trumna była duża, poruszałem rękoma z łatwością. Nie natrafiłem jednak w wieku na żadne pęknięcie. Z prawej i z lewej deski były wprawdzie niedbale pozbijane, ale mocne i twarde. Przepelźnąłem dłonią wzdłuż piersi, aby ją przenieść powyżej głowy. Tu, w poprzecznej deszczułce natrafiłem na sęk, który poddał się moim palcom, lekko naciśnięty. Wziąwszy się do niego zaraz z całym wysiłkiem, zdołałem go na zewnątrz wypchnąć, zagłębiwszy zaś palec w pozostałą po nim dziurę, natrafiłem z tamtej strony na ziemię gliniastą i mokrą. To jednak nie posunęło ani na włos naprzód mojej sprawy. Zacząłem nawet żałować wypchnięcia sęka, jakby się ziemia mogła tą drogą do trum-

ny dostać. Innego rodzaju doświadczenie zaprzątnęło mnie na chwilę: począłem opukiwać naokoło ściany trumny, aby wybadać, czy nie ma gdzieś po za niemi, z prawej, albo z lewej, próżni. Odgłos był wszędzie ten sam. Kiedym jednak z lekka zapukał bucikiem w dolny koniec trumny, wydało mi się, że z jednej strony stukanie dźwięczniej brzmi. Lecz powód zjawiska mógł tkwić w samym drzewie.

Wówczas zacząłem rozpierać się wśród desek, wyciągnąwszy przed siebie ręce. Drzewo stawiało opór. Spróbowałem tego samego za pomocą kolan, oparłszy się o dno trumny kością krzyżową i piętami. Lecz nie dał się słyszeć najmniejszy nawet trzask. Wtedy począłem się prężyć w mojem drewnianem więzieniu całym ciałem z taką gwałtownością, że moje umęczone kości poczęły wrzeszczeć: dosyć!... W owej to chwili ogarnął mnie szal.

Dotychczas opierałem się jako tako obłąkaniu, podmuchom furji, zrywającym się we mnie od czasu do czasu, niby pijackie delirium. Nadewszystko powstrzymywałem w so-

bie wyrywający mi się z piersi krzyk, czując, że jeśli raz tylko krzyknę, będę zgubiony. Naraz jak nie zacznę wrzeszczeć, ryczeć, wyć! Wstrzymać się dłużej od tego przechodziło me siły i ryki poczęły wylatywać jedne za drugimi z mego wzdętego gardła. Począłem wrzeszczeć o pomoc głosem, jakiego u siebie przez całe życie nie słyszałem, szalejąc coraz bardziej za każdym nowym wrzaskiem, powtarzając raz po raz w niebogłosy, że nie chcę umierać! Drapałem przytem drzewo paznokciami ze wszystkich sił, wijąc się w konwulsjach wilka złowionego w żelaza. Jak długo mogła trwać ta kryzys?... Nie wiem, czuję jednak jeszcze bezlitosną twardość ścian trumny, po której wewnątrz rozpacz mną tłukła, słyszę tę burzę ryków i łkań, jakimi napełniałem ciasną przestrzeń ujętą w cztery deski. W ostatnim błysku rozsądku chciałem zapanować nad sobą — nie byłem jednak już w stanie.

Z kolei przyszło niezmierne przygnębienie. Ogarnięty bolesną sennością, czekałem już tylko śmierci. Trumna ta była z glazów, nigdy nie

zdołam jej rozsadzić!... Niewzruszona ta pewnoś czekającej mnie zguby obezsilniła mnie do reszty i pozbawiła zdolności do jakichkolwiek dalszych wysiłków. Nowa męczarnia, głód, przyłączyła się teraz do zimna i braku powietrza. Zaczynało mi się słabo robić z czczości. Wydłubywałem więc palcem przez otwór po wypchniętym sęku gródki ziemi i zjadałem je, co podwoiło moje katusze. Gryzłem się już nawet w ręce, nie śmiejąc ich jeszcze kąsać do krwi, choć ciało własne także poczęło we mnie budzić łakomstwo, że ssałem je przez skórę w rosnącej żądzcy wbicia w nie zębów z całej siły.

Och! jakżem pożądał śmierci w owej godzinie!... Przez całe me życie myśl o nicości przejmowała mnie zawsze dreszczem, a teraz pragnąłem i przyzywałem jej całą mocą duszy, zdawało mi się, że nie może być dość czarną jej otchłań, tak teraz dla mnie upragniona... Co za dzieciństwo lękać się tego snu bez marzeń, tej wiekuistej ciszy i mroku!... Toż śmierć jest dobrodziejstwem, gasząc życie istot jednym zamachem i raz na zawsze. Och!... spać snem ka-

miennym, napowrót się w proch obrócić!... nie być!...

Ręce moje, macając, suwały się w dalszym ciągu machinalnie po powierzchni drzewa. Naraż ukłułem się w lewy kciuk, a ból, wywołany tem, acz lekki, ocucił mnie z mego strętwienia. Co to mogło być?... Poszukawszy, rozpoznałem gwóźdź, który wbity z ukosa, nie chwycił się drugiej deski. Był długi i spiczasty. Główką tkwił w wieku, ale się ruszał. Od tej chwili opanowała mnie całego jedna myśl: zdobyć ten gwóźdź! Wsunąwszy na brzuch prawą rękę, starałem się go ochwiać. Nie ustępował jednak. Ciężka to była praca. Wykonywałem ją to jedną to drugą ręką, ponieważ lewa, w trudniejszym położeniu, męczyła się prędko. W czasie tych usiłowań w głowie mojej rozwinął się cały plan. Gwóźdź ten będzie mym zbawcą. Muszę go zdobyć, żeby tam nie wiem co!... Czy starczy mi jednak na to czasu?... Nękany głodem, musiałem wkrótce przerwać robotę, mdlejąc z osłabienia, które pozbawiało władzy me ręce i głowę napełniało zamętem. Kiedym po pewnej chwili-

li zlizął krew, która sączyła mi się z ukłutego palca, naraz przestałem nad sobą panować i ukąsiwszy się w rękę z całej siły, począłem pić krew własną podniecany bólem i orzeźwiony tym płynem słonym, ciepłym, co zwilżał me wargi. Zabrawszy się teraz oburącz z dziką jakąś zawziętością do gwoźdź, zdołałem go wreszcie wyrwać.

Od tej chwili wróciła mi wiara w me ocalenie. Plan mój był prosty. Zagłębiłem gwoźdź w wieku i ryłem nim najdłuższą, jaka się tylko dała, linię prostą, rodzaj płytkiego na razie cięcia. Ręce me się kurczyły z całej siły, natężyłem się wściekle. Skoro mi się wydało, że drzewo jest już dość głęboko wyżłobione, przyszedł mi koncept odwrócić się i na brzuchu, podpartszy się na kolanach i łokciach, plecami i krzyżem zaatakować nadciętą deskę. Niestety! — wieko trzeszczało, ale nie pękło. Nacięcie nie było jeszcze dość głębokie. Musiałem ułożyć się na powrót wznak i kontynuować poprzednią robotę, co kosztowało mnie trudu niemało. Na koniec ponowiłem drugą manipulację i oto —

wieko pękło tym razem przez całą swoją długość.

Zaprawdę nie znaczyło to wcale, abym już był uratowany, nadzieja jednak zalała mi serce błogością. Przestawszy naciskać deski, leżałem czas jakiś bez ruchu, z obawy narażenia się na to, że ziemia zwali się na mnie i uduśi mnie. Mój projekt obecny zasadzał się na tem, aby posługując się trumną niby rodzajem ochronnej budki, wiercić w glinie otwór. Nieszczęściem praca ta, przedstawiała znaczne trudności; obrywające się bryły gliny zawadzały deskom, któremi nie mogłem ruszyć. Nie!... nigdy nie wydostanę się na powierzchnię... Już zwały gromadzącej się ziemi poczęły przygniatać mi krzyż i osypały twarz. Znowu mnie strach począł ogarniać, gdy wtem, wyciągając się jak długi, aby dla stóp znaleźć punkt oparcia, uczułem, jak mi się zdało, że deska, zamykająca w nogach trumnę, ustąpiła pod naciskiem. Uderzyłem w nią w tejże chwili piętami z całej mocy, sądząc, że po za nią znajdować się może świeżo wykopany grób...

I nagle nogi moje znalazły się w próżni!... Przypuszczenie me okazało się trafne. W nogach moich znajdował się istotnie świeżo wybrany dół. Potrzebowałem przebić tylko cienką warstwę ziemi, rozdzielającej mnie od niego, aby się zsunąć do sąsiedniego grobu. Boże Wielki!... Byłem uratowany!...

Przez chwilę leżałem na wznak z oczyma utkwionemi w głębi otworu. Była noc. Na niebie gwiazdy iskrzyły się wśród aksamitnego tła ciemnego błękitu. Chwilami zrywał się lekki wiatr i przynosił mi ciepłe powiewy wiosny, przejęte wonią drzew. Wszechmocny Boże!... więc jestem ocalony!... oddycham!... żyję!... Uderzyło we mnie gorąco. Z wybuchem płaczu, z wyciągniętymi w przestrzeń rękoma bełkotałem nabożnie: — O! jakaż to rozkosz: żyć!...

V

Pierwszą mą myślą było obecnie udać się do dozorczy cmentarza, aby mnie kazał do domu odwieźć. Wstrzymało mnie jednak od tego kro-

ku świtanie niewyraźnych jeszcze na razie myśli... Poprzedzają się wszyscy moim widokiem... Na co się spieszyć, skoro i tak jestem obecnie panem sytuacji... Począłem sobie obmacywać ciało; miałem tylko nieznaczny ślad zębów od ukąszenia w lewą rękę, wynikła stąd lekka gorączka wyposażała mnie jednak w niebywałą energię. Tak jest, potrafię pójść do domu bez niczyjej pomocy...

Nie chciałem tracić czasu. Przez mózg mi przelatywały tysiące myśli. Napotkawszy w pustym grobie obok mojego narzędzia grabarzy, zorientowałem się, że należy usunąć zrzędzony przezemnie nieład i załatać dziurę przez którą wyszedłem, aby mego zmartwychwstania nie spostrzeżono. Na razie myśli te nie miały jeszcze określonych kształtów, wydawało mi się jednak, że zbyt cicho nadawać memu zdarzeniu rozgłos, jakbym się trochę wstydział tego, że żyję, kiedy mnie wszyscy mają za zmarłego. W przeciągu godziny zdołałem zatrzeć wszelki ślad. I wyskoczyłem z jamy.

Jakaż piękna noc!... Cisza głęboka zaległa cmentarz. Czarne cienie drzew rysowały się nieruchomo wśród tłumu białych grobowców. Rozejrzawszy się lepiej, spostrzegłem, że pół nieba płonie jakby łuną pożogi. To Paryż był w tej stronie! Skierowałem tam zaraz moje kroki, ale ją ciemną od obrastających ją drzew. Uszedłszy jednak z pięćset metrów tak się zadyszałem, że musiał usiąść dla odpoczynku na kamiennej ławeczce. Przypatrzyłem się sobie: byłem kompletnie ubrany, brakło mi tylko kapelusza. Jakżem był w owej chwili wdzięczny mej drogiej Małgorzacie za tę czułą troskliwość, z jaką zajęła się moim strojem, nim mnie złożono do trumny. Ale nagle przypomnienie Małgorzaty dźwignęło mnie na nogi. Zapragnąłem ją co prędzej zobaczyć.

Na samym końcu alei zagroził mi drogę mur. Wszedłszy na jakiś nagrobek, wspiąłem się i zeskoczyłem z drugiej strony. Skok był porządny, nie przyprawił mnie jednak o żadną szkodę, tak, że puściłem się natychmiast w dal-

szą drogę szerokim, pustym gościńcem, który okalał cmentarz.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jestem, powtarzałem sobie jednak z uporem, że wróciwszy do Paryża, odszukam przecież z łatwością ulicę Dauphiné. Ludzie mnie mijali, nie odzywałem się jednak do nikogo, bojąc się wtajemniczać nieznajomych w me położenie rozpytywaniem o drogę. Dziś zdaję sobie w zupełności sprawę, że miałem podówczas potężną gorączkę i myślałem jak człowiek w malignie. Aż kiedy mi przyszło skręcić na główną szosę, nagły błysk słońca, które mi bryznęło prosto w oczy, tak mnie olśnił, że padłem jak kłoda na bruk.

W tem miejscu w życiu mojem przypada luka. Przez trzy tygodnie byłem bez przytomności. Kiedym się z mego stanu ocknął wreszcie, ujrzałem się w jakimś pokoju nieznanym mi zupełnie. Pielęgnujący mnie człowiek opowiedział mi z prostotą, że napotkawszy mnie pewnego ranka zemdlonego na bulwarze Montparnasse, wziął mnie do siebie, gdzie jestem

dotąd. Był to stary lekarz, który wycofał się już z praktyki. Kiedym mu począł dziękować, obruszył się, szorstko mi przerywając, że mnie przygarnął dla studyów, ponieważ go zacieka-
wił mój wypadek. Zresztą w pierwszych dniach rekonwalescencji zabronił mi surowo zadawać mu jakiegokolwiek pytania, sam zaś ani wtenczas ani później nie wypytywał mnie o nic. Ośm dni jeszcze przeleżałem w łóżku w absolutnym spokoju, nie natężając nawet pamięci rozmy-
ślaniami, bo nawet wspomnienia zbyt były mę-
czące dla osłabionej mej głowy. Od czasu do czasu wszakże począł mnie już nawiedzać wstyd i niepokój, czy mającąc w gorączce, nie wyga-
dałem się wobec tego człowieka z jakim imie-
niem lub faktem, ale lekarz nie uczynił nigdy najmniejszej aluzji, mogącej usprawiedliwić me obawy. Dobroć jego nie wykroczyła ni razu z granic dyskrecyi.

Tymczasem przyszło lato. Pewnego czerw-
cowego rana uzyskałem nakoniec pozwolenie na krótką przechadzkę. Przecudnyż to był po-
ranek, jeden z tych pełnych słonecznej radości

świtów, co tak odmładzają ulice starego Paryża. Szedłem krok za krokiem, rozpytując przechodniów na każdym rogu o ulicę Dauphiné. Przybywszy wreszcie na nią, poznałem z trudnością hotel, w którym rozkwaterowaliśmy się za naszym przybyciem. W tej samej chwili wszakże strach mnie ogarnął iście dziecięcy. Lękałem się, że jeśli się Małgorzacie niespodzianie ukazuje, gotowa paść nieżywa. Najlepiejby tedy było uwiadomić wpierw tę staruszkę, tę panią Gabin, która mieszkała obok nas. Ponieważ atoli wciąganie pomiędzy mnie i Małgorzatę osoby trzeciej niebardzo mi przypadało do smaku, nie mogłem się zdecydować. Równocześnie w głębi mej istoty dawała mi się uczuć jak gdyby wielka próżnia, coś na kształt ofiary uczynionej sercem od dawna...

Dom cały złocił się w słońcu. Poznałem go w końcu zupełnie po trochę podejrzaney restauracyi na parterze, z której nam przynoszono jedzenie. Podniósłszy oczy, wpatrzyłem się w ostatnie z okien na trzeciem piętrze, na lewo. Było szeroko rozwarte. Naraz młoda, nieucze-

sana kobieta w niedopiętym kaftaniku, wsparła się na niem łokciami, tuż za nią zaś ukazał się ścigający ją młody człowiek i przysunąwszy do niej usta, pocałował ją w kark. Nie była to jednak Małgorzata. Przypatrywałem się temu wszystkiemu bez żadnego zdziwienia zgola. Zdawało mi się, że mi się to wszystko śni, a także inne jeszcze rzeczy, o których się miałem dopiero dowiedzieć.

Stałem przez chwilę na ulicy, nie mogąc się zdecydować, czy iść na górę zapytać tę parę kochanków, śmiejących się bez ustanku w potopie słońca. Potem jednak uznałem za odpowiedniejsze wstąpić do restauracyjki na dole. Musiałem być do niepoznania zmieniony, broda mi urosła w czasie mej gorączki mózgowej, policzki miałem zapadnięte...

Zaledwem usiadł przy jednym z stolików, ujrzałem panią Gabin, która przyszła z filizanką kupić sobie kawy za dwa sous i rozsiadłszy się przed ladą, rozpoczęła z kasyerką w najlepsze codzienną paplaninę plotkarek. Nastawiłem uszu.

— I cóż? — zapytała kasyerka. — Ta biedaczka z trzeciego piętra zdecydowała się nareszcie?

— Cóż pani chcesz? — odpowiedziała pani Gabin — to jeszcze najlepsza rzecz ze wszystkich, jakie jej pozostawały do zrobienia. Pan Simoneau dawał jej tyle dowodów przychylności... Zakończył właśnie szczęśliwie swoje interesy — gruby spadek, mówiąc między nami — więc jej zaproponował, żeby z nim jechała... Ma ją ulokować u swojej ciotki, która potrzebuje zaufanej osoby do towarzystwa...

Dama za kontuarem zachichotała przy tych słowach z lekka. Ja zaś ukryłem twarz w arkuszu gazety, czując, że zaczynam drzeć i blednąć jak kreda.

— Niema najmniejszej wątpliwości, że to się zakończy małżeństwem — ponowiła z powagą pani Gabin. — Ja pani przysięgam na mój honor, nie zauważyłam między nimi nic podejrzanego. Ta mała opłakiwała bezustannie swego nieboszczyka, a młody człowiek zachowywał się jak najprzyzwoiciej... Wczoraj odjecha-

li. Skoro żałoba się skończy, zrobią, jak sami zechcą.

W tej chwili drzwi restauracyi od ulicy otwarły się i wbiegła Dédé.

— Mamo!... czemu nie przychodzisz na górę?!... Czekam i czekam!... Chodźże!

— Zaraz. Nie nudź mnie — ofuknęła ją matka.

Dziewczynka została i usiadłszy, poczęła się przysłuchiwać rozmowie dwu kobiet z przebiegłą minką małego łobuza, rozwijającego się na paryskim bruku.

— A potem, co tu gadać — dorzuciła pani Gabin; — nieboszczyk przecie nie był wart pana Simoneau... Nie podobał mi się od pierwszej chwili ten chudziaszek... To jego ciągle postękiwanie... A przytem w kieszeni płótno!... Nie! nie!... taki mąż to czyste nieszczęście dla kobiety, co ma w żyłach krew... Tymczasem pan Simoneau i bogaty i mocny jak Turek...

— Och! Mamo! — wtrąciła się żywo Dédé — ja go raz widziałam, jak się golił... Ma całkiem obrośnięte ręce!...

— Pójdiesz ty mi stąd?... — krzyknęła stara z gniewem, wlepiając dziewczynce kułaka; — wszędzie nos wtyka, gdzie jej nie trza!...

I dodała na zakończenie:

— Wie pani co?... Bardzo dobrze tamten zrobił, że umarł... W porę!... w samą porę!

Znalazłszy się na ulicy, począłem się wlec krok za krokiem, jakbym miał nogi połamane. Nie mogę mimo tego powiedzieć, bym cierpiał zbyt mocno. Uśmiechnąłem się nawet, spostrzegłszy na bruku mój chudy cień, rzucony przez słońce. W istocie, byłem słabeusz... Dziśka to była z mojej strony myśl, poślubić Małgorzatę... I przypomniałem sobie jej znudzenie w Guérande, napady zniecierpliwienia, jej życie smutne i pełne trudów... Pomimo tego wszystkiego kochane moje kobieciątko okazywało mi zawsze tyle dobroci... Nie byłem jednak nigdy — widzę to dopiero teraz — jej kochankiem, a jeżeli płakała po mnie, to tylko jak po bracie...

Po cóż więc stawać raz drugi w poprzek jej życiu?... W umarłym niema miejsca na za-

zdrość... Podniósłszy głowę, ujrzałem przed sobą ogród luksemburski. Wszedłem i siadając na jednej z ławek, oblanych słońcem, pograżyłem się w słodczy marzeń... Myśl o Małgorzacie poczęła mnie rozrzewniać. Wyobraziłem ją sobie na prowincyi, w małym miasteczku, bardzo szczęśliwą, bardzo kochaną, bardzo pieśczo-
ną. Wypiękniała, urodziła trzech chłopców, dwie dziewczynki...

Dalej!... Miałem rację, przenosząc się na tamten świat i nie będę tak głupim, ani tak okrutnym, by z niego teraz powracać...

Podróżowałem wiele od tego czasu, żyłem wszędzie potrochu... Wiem, że jestem miernotą, co tylko pracuje na chleb, a potem go zjada — jak tyłu... Toż śmierć mnie już dziś nie przstrasza — ale o dziwo! zdaje się nie chcieć mnie teraz, kiedym postradał wszelką rację istnienia — to też obawiam się, aby nie chciała zapomnieć o mnie zupełnie.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zgon-oliwiera-becaille>

Tekst opracowany na podstawie: Emil Zola, Zgon Oliwiera Becaille, tłum. Z. Niedźwiecki, Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla, Lwów-Złoczów, 1909.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowską, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

Okładka na podstawie: old cemetery from 1776, amy gizenski@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1085-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
EMIL ZOLA, *Zgon Oliwiera Becaille* 69
KRS 0000070956.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę